

DWA SPOTKANIA Z WAGNEREM

15 V 1963. W numerze specjalnym „Ruchu Muzycznego”,
wydanym z okazji 150. rocznicy urodzin Ryszarda Wagnera.

Latem 1929 roku jadąc z Paryża do Krakowa, zatrzymałem się w Bayreuth. Opera była zamknięta, poszedłem więc zobaczyć willę Wahnfried, lecz i tu brama była zamknięta.

Ściemniało się, pomimo to dobijałem się gwałtownie. Dozorca czy ogrodnik wyszedł, gderliwy. Już się przecie o tej porze nie zwiedza. Z okna wyjrzała jakaś starsza pani.

„Co to takiego?”

„Ten młody człowiek mówi, że jest przejazdem z Paryża, i chce wejść.”

„Z Paryża? Niech zaczeka.”

Czekałem. Pani zeszła z góry, trwało to długo.

„Vous venez de Paris?” zapytała mnie staruszka — bo teraz dopiero zobaczyłem, że stoi przede mną osoba, która mogłaby być moją prababką.

„Tak, jestem muzykiem, studiuje w Paryżu, chciałbym przynajmniej wejść tutaj.”

„Młody muzyk — z Paryża...” Staruszka wydała mi się wzruszona. „Jak teraz Paryż wygląda? Dużo koncertów?”

„Czasami i dziesięć dziennie” — wdałem się w rozmowę — już byliśmy przy samej willi, już mnie ta pani pyta, co chcę zwiedzić. Ale zmrok zapadał szybko, poprosiłem więc tylko o wskazanie mi, gdzie się znajduje grób Wagnera.

„Grób mojego męża. — Zaprowadzę pana”. Mimo to przystanęła, już z drugiej strony domu. Podniosła cienką laseczkę: „Niech pan idzie prosto, tam”.

Nie wiedziałem, czy mam iść, czy zostać przy córce Liszta i pani d'Agoult, żonie Hansa von Bülowa, secundo voto żonie Ryszarda Wagnera. Miałem ochotę cicho powiedzieć, żeby nie krzyknąć: „to pani jeszcze żyje?!” Ale ona została przy drzwiach, a ja odchodziłem, mamrocząc jakieś podziękowania.

Cosima! Więc rozmawiałem z dziewięćdziesięciodwuletnią Cosimą, która znała ich w s z y s t k i c h?! Tych, których nuty zalegają moją półkę przy fortepianie?!

Po chwili stałem już przed gładką, grubą płytą kamienną, pod którą leżał autor *Tristana*.

Trzydzieści lat później, zimą zaprowadził mnie o świcie, „pod bagnetem” żołnierz niemiecki do niemieckiego kułaka, gdzie miałem oporządzać kilkadziesiąt sztuk bydła, krów, jałówek i wołów. W południe zawołano mnie do domu i w zimnej sionce pokazano mi dwie miski. W jednej była kasza dla psa, a w drugiej dla mnie. Na obu porcjach położony był kawałek skóry ze słoniny.

Piesek nadbiegł wesoło, kręcił kundlowatym ogonkiem i — o dziwo! — zamiast się rzucić do swojej miski, podbiegł do mnie. Usłyszałem wtedy zirytowany głos bauerki, przywołujący pieska do porządku. Przecie nie powinien się zadawać z czymś tak podłym jak ten słowiański żołnierz. Ale piesek łasił się dalej. Głaskałem go, gdy bauerka zawołała: „Senta!” Wtedy dałem skórkę ze słoniny Sencie, córce Dalanda — i Senta została już przy mnie. Bauerce było już tego za wiele. Prowokacja. „Pin frecher Pole”, usłyszałem. Pewnie — taki zagłodzony, obszarpany śmieć — i karmi germańskiego pieska. Ale mój słuch już biegł dalej, już nie słyszałem głosu bauerki. Z ręką na głowie pieska słyszałem balladę — „Traft ihr das Schiff” — a gdy szedłem na pole i wiało od Północnego Morza „Mit Gewitter und Sturm, aus fremdem Meer” — ciągnąłem w myśli te wczesne Wagnerowskie melodie z *Holendra tułacza*.

A teraz myślę o bramie do willi Wahnfried, o Sencie i Morzu Północnym, o przewalającym się morzu muzyki Wagnera, bogatym, napęczniałym od rozsadzającego je

dźwięku, o tym narodzie, wśród którego spędziłem pięć lat, dziwnych, trupich lat, w ciągu których wspinałem się myślą aż po pasyjne arie, „Erbarme dich”.

Cosima, Izolda, Senta, tristanowe pieśni do słów Matyldy Wesendonck, i ta zimna sień, z ciepłą głową pieska — co by na to stary Wagner powiedział, co by powiedziała Cosima? Ona by chyba wolała bajeczkę o Sencie niż wspomnianie Matyldy Wesendonck!

Zygmunt Mycielski, *Postludia*, Kraków 1977, s. 287–289.